

Entomolog odkrywa antygravitację – 2

5 sierpnia 2019

Co i w jaki sposób naprowadziło mnie na ten wynalazek? Obserwując latem 1988 roku pod mikroskopem chitynowe powłoki owadów, ich pierzaste włoski, nadzwyczaj subtelne struktury łusek motyli skrzydeł, ażurowe z tęczowym odcieniem skrzydełka złotooków i inne Patenty Przyrody, zainteresowałem się niezwykle rytmiczną mikrostrukturą jednego z dosyć okazałych owadzych detali. Była to niezwykle uporządkowana, jak gdyby wytłoczona na jakimś skomplikowanym aparacie kompozycja, którą wykonano według specjalnych szkiców i obliczeń. Moim zdaniem ta z niczym nieporównywalna porowatość wyraźnie nie była konieczna ani do wzmocnienia trwałości tego detalu, ani do jego przyozdobienia.

Wiktor Stiepanowicz Grebiennikow

Niczego takiego, nawet w przybliżeniu przypominającego ten niezwykle mikroskopijny wzór, nie zaobserwowałem u innych owadów ani w pozostałych dziełach przyrody, ani w technice, ani w sztuce. Ponieważ jest on przestrzennie wielowymiarowy, nie udało mi się dotychczas odtworzyć go na płaskim rysunku lub fotografii. Po co owadowi coś takiego? Tym bardziej że ta struktura – dolna część pokryw skrzydeł – prawie zawsze jest ukryta przed cudzym wzrokiem, oprócz fazy lotu, kiedy i tak nikt jej nie dojrzy.

I wtedy przyszło mi do głowy, że to może być emiter fal wywołujący „mój” efekt wielokomórkowych struktur. Owego naprawdę szczęśliwego lata owadów tego gatunku było bardzo dużo – łapałem je wieczorami na światło. Ani „przed”, ani „po” nie obserwowałem nie tylko takiej ich masowości, ale i pojedynczych osobników.

Położyłem na stoliku mikroskopu tę niewielką wklęsłą chitynową

płytkę, żeby jeszcze raz obejrzyć jej dziwne gwiaździste komórki pod dużym powiększeniem. Delektowałem się kolejnym arcydziełem Przyrody-Jubilerki i prawie bez jakiegokolwiek celu położyłem na niej pincetą drugą identyczną płytkę z tymi niezwykłymi komórkami na jednej z jej stron.

Zdjęcia struktur porowatych owadów wykonane za pomocą mikroskopu elektronowego. Struktury te służą do odbioru bodźców węchowych, wzrokowych, dźwiękowych, ponadto odbierają lub wytwarzają fale elektronowe, a niektóre przeciwdziałają przyciąganiu Ziemi.

Ale nic z tego – płytka wyrwała się z pincety, zawisła na parę sekund w powietrzu nad tą, która leżała na stoliku mikroskopu, obróciła się nieco zgodnie ze wskazówkami zegara, ześliznęła się po powietrzu w prawo, obróciła w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, bujnęła się, i dopiero wtedy ostro i gwałtownie upadła na stół...

Czytelnik może sobie tylko wyobrazić szok, jaki przeżyłem w owej chwili!...

Gdy oprzytomniałem, związałem kilka płytek-paneli drucikiem, co było wcale nieproste, a udało się dopiero wtedy, gdy ustawiłem je pionowo.

W efekcie wyszedł wielowarstwowy „chitynowy blok-panel”. Położyłem go na stole. Nie mógł nań spaść nawet tak stosunkowo ciężki przedmiot jak duża kancelaryjna pinezka – coś jakby podbijało ją do góry, a następnie w bok. Przytwierdziłem pinezkę do wierzchniej strony „bloku”... I oto zaczęły dziać się tak absurdalne, niewiarygodne rzeczy (w szczególności pinezka na chwilę dosłownie zniknęła z pola widzenia!), iż zrozumiałem, że to wcale nie jest emiter fal, lecz coś zupełnie, ale to zupełnie, Nowego.

I znowu zaparło mi dech w piersiach, znów od emocji wszystkie przedmioty wokół mnie popłynęły jak we mgle. Z trudem, ale jednak, wziąłem się w garść i po jakichś dwóch godzinach mogłem kontynuować pracę...

Wszystko zaczęło się właściwie od tego epizodu... Wiele, rzecz jasna, trzeba jeszcze na nowo przemyśleć, sprawdzić, wypróbować. Oczywiście, opowiem i o „subtelnościach” mojego aparatu, o zasadach jego poruszania się, odległościach, wysokościach, prędkościach, o wyposażeniu i całej reszcie, lecz będzie to już w mojej następnej książce.

Nie czekając na właściwą porę i nie zadając sobie trudu wyjechania w odludne miejsce, w nocy z 17 na 18 marca 1990 roku odbyłem nieudany, bardzo niebezpieczny lot. Tymczasem noc, o czym dobrze już wiedziałem, to najbardziej ryzykowna pora doby do takiej pracy.

Niepowodzenia zaczęły się jeszcze przed startem – blok-panele prawej części platformy nośnej zacinał się, co należało natychmiast usunąć, lecz tego nie zrobiłem. Startowałem wprost z ulicy naszego miasteczka WASCHNIŁ, licząc nieroztropnie, że między pierwszą a drugą w nocy wszyscy śpią i nikt mnie nie zobaczy. Start zaczął się niby normalnie, ale po kilku sekundach, kiedy domy ze świecącymi z rzadka oknami pomknęły w dół i byłem jakieś sto metrów nad ziemią, poczułem się nieswojo, jakbym miał stracić przytomność... Należało w tym momencie lądować, lecz tego nie zrobiłem... I to był błąd. Jakaś potężna siła, jak gdyby wyrwała mi kontrolę nad ruchem i ciężkością i nieubłaganie pociągnęła w stronę miasta.

Porwany tą niespodziewaną, nie podlegającą kontroli siłą, przeciąłem drugi krąg ośmiopiętrowców strefy osiedlowej miasteczka (rozmieszczone są w dwóch ogromnych kręgach o kilometrowej średnicy, wewnątrz których stoją czteropiętrowki, a wśród nich nasza), przeleciałem nad szerokim ośnieżonym polem, przeciąłem ukośnie szosę Nowosybirsk-Miasteczko Akademickie i Osiedle Północno-Czemskie... Nadciągał ku mnie, i to szybko, ciemny potężny masyw Nowosybirsk, i oto widzę już prawie o rzut kamieniem kilka „bukietów” wysokich fabrycznych kominów, z których – dobrze to pamiętam – unosił się powoli gęsty dym – pracowała nocna zmiana... Należało szybko przedsięwziąć jakiś manewr...

Z największym trudem opanowałem sytuację, zdołałem od biedy przestroić awaryjnie blok-panele. Prędkość pozioma zaczęła maleć, ale ja znów poczułem się kiepsko, co w locie jest absolutnie niedopuszczalne. Dopiero za czwartym razem udało mi się zahamować ruch horyzontalny i zawisnąć nad Zatulinką – przemysłową dzielnicą miasta. Złowieszcze kominy ciągle dymiły całkiem blisko pode mną. Odpocząłem kilka minut, o ile można nazwać odpoczynkiem dziwaczne wiszenie nad oświetlonym ogrodzeniem jakiegoś zakładu, przy którym zaczynały się domy mieszkalne, i upewniwszy się z ulgą, że „zła siła” zniknęła, pomknąłem z powrotem, ale nie w stronę naszego miasteczka WASCHNIŁ, lecz nieco w prawo, w kierunku Tołmaczowa, by zgubić ślad na wypadek, gdyby ktoś mnie zauważył. Jakieś pół drogi do tamtejszego portu lotniczego, nad jakimiś ciemnymi polami, gdzie nie było wyraźnie żywego ducha, ostro zawróciłem do domu...

Nazajutrz, rzecz jasna, nie mogłem wstać z łóżka. Nowości, doniesienia gazet i telewizji były dla mnie więcej niż szokujące. Nagłówki: „UFO nad Zatulinką”, „Znów obcy przybysze?” – wyraźnie wskazywały na to, że mój lot został zauważony. Ale jak! Jedni opisywali obserwowany „fenomen” jako świecące kule lub dyski, przy czym wielu „widziało”, nie wiedzieć czemu, nie jedną, lecz... dwie kule! Mimo woli powiem: strach ma wielkie oczy. Inni twierdzili, że leciał „prawdziwy talerz” z iluminatorami i promieniami...

Możliwe, że właśnie tak wyglądał z ziemi nocny start mojego grawitoplanu (ilustracja wykonana przez W. Grebiennikowa). Nie wykluczam, że niektórzy mieszkańcy Zatulinki widzieli bynajmniej nie moje prawie że awaryjne ewolucje, lecz coś innego, nie mającego z nimi związku. Tym bardziej że marzec 1990 roku wyjątkowo „obrodził” w UFO na Syberii i pod Nalczykiem, a najbardziej w Belgii, gdzie nocą 31 marca, jak informowała gazeta Prawda, inżynier Marcel Alferand chwycił w rękę kamerę wideo i wybiegł na dach domu, skąd nakręcił dwuminutowy film rejestrujący lot jednego z ogromnych

trójkątów-grawitoplanów „z obcej planety”, które były wedle autorytatywnej opinii belgijskich uczonych niczym innym jak „materialnymi obiektami o takich możliwościach, jakich nie jest w stanie wytworzyć żadna cywilizacja”.

Czy aby na pewno „żadna”, panowie belgijscy uczeni? Jeśli chodzi o mnie, mogę się założyć, że grawitacyjne platformy-filtry (albo, że się tak wyrażę, blok-panele) tych aparatów były w rzeczywistości stosunkowo niewielkie, miały trójkątny kształt i zostały wytworzone u nas na Ziemi, lecz w bardziej wyrafinowany sposób niż mój aparat, niemal w połowie wykonany z drewna. Od razu chciałem zrobić go w kształcie trójkąta, który jest znacznie efektywniejszy i pewniejszy, ale zrezygnowałem z tej formy na rzecz czworokąta, dzięki czemu jest go łatwiej składać i po złożeniu przypomina walizeczkę, przybornik malarza albo „dyplomatkę”, którą można tak udekorować, że nikt nie będzie miał najmniejszych podejrzeń. Rzec jasna wybrałem „walizeczkę”.

Z wydarzeniami w Belgii i pod Nalczykiem nie mam nic wspólnego. Tym bardziej że wykorzystuję swój wynalazek, jak się wam pewnie wydaje, zupełnie nieracjonalnie – tylko i wyłącznie do odwiedzania swoich „entomoparków”...

A tych moich rezerwatów, jak sądzę o wiele ważniejszych niż wszelkie techniczne wynalazki, mam na dzień dzisiejszy jedenaście: osiem w Obwodzie Omskim, jeden w Woroneskim i dwa w Nowosybirskim. Tu, pod Nowosybirskiem, było ich sześć, stworzonych, a właściwie uratowanych rękami moimi i mojej rodziny. Jednak tutaj nie lubią tych spraw – ani u nas w akademii rolniczej (jak dawniej „forsują” chemię), ani w towarzystwie ochrony przyrody, ani w Komitecie Ochrony Przyrody, które mimo mych prośb nie chciały pomóc w uratowaniu zniszczonych przez złych ludzi lub prostaków owych małych owadnich rezerwatów i „ochronek”.

I tak kontynuuję swoją podróż pod południowymi, majestatycznie pulchnymi obłokami, hen, na zachód. Odchodzą do tyłu

prostokąty różnokolorowych pól, zagajniki o dziwacznych zarysach. Uciekają pode mną także ciemnoniebieskie cienie tych obłoków.

Prędkość lotu jest dość duża, ale wiatr nie gwiżdże mi w uszach – ochronne pole siłowe platformy z blok-panelami „wycięło” z przestrzeni rozszerzający się ku górze słup czy też promień odcinający przyciąganie platformy do Ziemi, pozostawiając mnie i znajdujące się wewnątrz tego słupa powietrze nietknięte. Wszystko to, jak sądzę, jak gdyby rozsuwa podczas lotu przestrzeń, a za mną z powrotem ją zasuwa, zatraskuje. Właśnie w tym kryje się zapewne przyczyna niewidzialności aparatu z „jadącym”, a raczej „stojącym” pilotem, lub częściowej deformacji jego obrazu, jak przytrafiło się to mi niedawno nad nowosybirską Zatulinką. Jednakże ochrona przed przyciąganiem, która jest regulowana, nie jest pełna. Wystarczy, że pochylę głowę do przodu, a już odczuwam jakby zawirowania od przeciwnego wiatru wyraźnie niosącego zapach nostrzyka lub gryki albo mnogość kwiecista łąkowych traw syberyjskich.

Isilkul z bryłą elewatora przy linii kolejowej zostawiam daleko z lewej strony i stopniowo schodzę w dół nad szosą, najpierw dobrze upewniwszy się, że jestem teraz niewidoczny dla kierowców i pasażerów, a także pracujących w polu – moja sylwetka i platforma nie rzuca na ziemię cienia (zresztą niekiedy cień nieoczekiwanie się pojawia). Oto na skraju zagajnika trójka chłopców zbiera jagody. Zniżam się przechodząc do lotu koszącego, redukuję prędkość i przelatuję obok nich. W porządku, żadnej reakcji, a więc nie widać ani mnie, ani cienia. No i oczywiście, nie słychać – przy takiej zasadzie poruszania się w „rozsuwanej przestrzeni” aparat nie wyda nawet najmniejszego dźwięku, ponieważ praktycznie nie zachodzi tu tarcie o powietrze.

W. Grebiennikow ze swoją „walizeczką” – złożonym grawitoplanem.

Moja podróż trwała długo – nie mniej niż czterdzieści minut od

Nowosybirsk. Zdrętwiały mi ręce, których nie sposób oderwać od regulatorów, zdrętwiały też nogi i tułów, ponieważ na tej malutkiej platformie, do której pionowego stojaka jestem przywiązany... pasem, trzeba stać niemal w postawie „na baczność”. I chociaż mógłbym przemieszczać się szybciej, to obawiam się jednego – mojej wytworzonej metodą chałupniczą „maszyny”, która jest zbyt mała i niepewna.

Znów do góry i znów na wprost. Oto ukazują się znajome punkty orientacyjne: skrzyżowanie dróg, wiata przystanku autobusowego z prawej strony szosy. Jeszcze pięć kilometrów... i wreszcie pomarańczowe słupki ogrodzenia Rezerwatu, który liczy sobie – pomyśleć tylko! – dwadzieścia lat.

Ileż razy ocaliłem to swoje pierwotne dziecię od niedoli i biurokratów, od samolotów i chemikaliów (zdarzyło się i to!), od pożaru i wielu innych nikczemności. I ta Kraina Owadów żyje i rozkwita! Obniżając lot i hamując, a dokonuje się tego poprzez wzajemne przemieszczenie filtrów-żaluzji znajdujących się pod deskami platformy, widzę już bujne zarośla marchewników. Jestem w stanie rozróżnić jasne czapki ich kwiatostanów, podobnych do ażurowych kul obsypanych, rzecz jasna, owadami... Niewiarygodna radość ogarnia duszę i zupełnie znika zmęczenie. A jednak ocaliłem ten skrawek Ziemi, choć niewielki, poniżej siedmiu hektarów. Okrągłe dwadzieścia lat nie jeżdżą tu, nie koszą, nie pasą bydła, zaś warstwa gleby wzrosła miejscami do czternastu centymetrów. Pojawiły się nie tylko dawno wymarłe w tych stronach gatunki owadów, lecz także takie wyniszczone w rejonie trawy, jak rzadkich gatunków ostnice, skorzonera purpurowa, której wielkie kwiaty pachną rano czekoladą, i wiele innych roślin.

Główne elementy grawitoplanu: kierownica i platforma nośna. Mocny zapach miłków i marchewników – tak pachnie Środkowa Polana znajdująca się zaraz za ogrodzeniem rezerwatu. Wlewa we mnie nową porcję radości na myśl o oczekiwanym spotkaniu ze Światem Owadów. Oto one, widać je dobrze nawet z wysokości dziesięciu metrów na rozłożystych parasolach i ażurowych

kulach arcydzięgli i marchewników – zbite w kupki siedzą ciemnopomarańczowe motyle przeplatki *Melitaea*, ciężkie wielkie żuki nachylają w dół białe i żółte kwiatostany przytulii, nad Polaną, już na równi ze mną, szybuja rude i błękitne ważki, połykując furczącymi w słońcu szerokimi skrzydełkami pokrytymi cudną siateczką żyłek. Jeszcze ciszej, jeszcze wolniej i oto w dole jak gdyby ciemna nieoczekiwana eksplozja – jednak pojawił się mój cień, dotąd niewidoczny, teraz powoli ślizga się po trawach i krzewach. Lecz to już mi niestraszne. Wokół ani żywej duszy, a na szosie położonej jakieś trzysta metrów na północ od rezerwatu na razie nie ma samochodów. Można spokojnie opaść na ziemię. Łodygi najwyższych traw zaszeleściły już o mój „postument” – platformę z blok-panelami.

Ale zanim osadzę platformę na tym pagórku, ogarnięty porywem radości ruchem pokręta znowu rozsuwam żaluzje paneli i ostro, świecą idę w górę.

Obraz w dole – obrzeża Rezerwatu, wszystkie jego skraje i ogrodzenie, wszystkie otaczające go zagajniki i pola – błyskawicznie kurczy się, jak gdyby zwijając się. Horyzont zaczyna jakby wyginać się ze wszystkich stron ogromnym łukiem, otwierając linię kolejową biegnącą dwa kilometry na lewo, a potem wioski – z prawej strony za szosą migocąca jasnymi łupkowymi dachami Rossławka, bardziej na prawo przypominające już niewielkie miasteczko główne osiedle sowchozu „Liesnoj”, na lewo od linii kolejowej krowie fermy Komsomolskiego oddziału sowchozu „Liesnoj” otoczone szerokim żółtym wałem słomy i suchego udeptanego nawozu, w oddali na zachodzie, dokąd prowadzi łagodny łuk linii kolejowej (nie pojmuję w czym rzecz – ta magistrala jest prosta jak strzała), małe budyneczki i biały sześcian zgrabnej stacyjki rozjazdowej Junino położonej sześć kilometrów od Rezerwatu, a za Junino – bezbrzeżne przestrzenie Kazachstanu tonące w błękitnej upalnej mgiełce.

I oto w całej okazałości pode mną Isilkulia, kraina mojej

młodości, wcale nie taka jak na mapach i planach z napisami, umownymi oznaczeniami i całą resztą, lecz bezbrzeżna, żywa, usiana ciemnymi, osobliwymi wyspami zagajników, cieniami obłoków, jasnymi wyraźnymi plamami jezior, i ogromny dysk Ziemi z tym wszystkim, który, nie wiedzieć czemu, wydaje się coraz to bardziej wklęsły – przyczyny tej od dawna znanej mi iluzji wciąż nie odkryłem.

Wynalazca szykuje się do startu... ..i po wystarowaniu.

Wznoszę się coraz wyżej, rzadkie białe masywy kłębiastych obłoków odchodzą w dół i niebo już nie jest takie jak widziane z dołu, lecz ciemnobłękitne, prawie szafirowe. Widoczne między obłokami zagajniki i pola zaciągnęły się już oparem gęstniejącej błękitnej mgiełki i coraz trudniej je dojrzeć.

Ech, jaka szkoda, że nie mogę zabrać ze sobą mojego ukochanego wnuka Andriuszy. Ma cztery lata i platforma nośna bez trudu podniosłaby nas obu, ale różnie bywa...

...Oj, co ja takiego wyprawiam, przecież tam na dole, na Polanie, rzucałem cień, a więc mogą mnie zobaczyć ludzie, i to nie jednostki jak w tę pamiętną marcową noc, lecz tysiące. Przecież teraz jest środek dnia, dochodzi pierwsza, znowu „objawię się” w postaci dysku, kwadratu albo, co gorsza, we własnej osobie... Na dobitkę, jak na złość przede mną leci samolot, wygląda na transportowy, na razie niemal bezdźwięcznie mknie prawie na wprost mnie, szybko rosnąc w oczach – widzę już chłodny połysk duralu kadłuba, pulsację nienaturalnie czerwonej lampy...

Czym prędzej w dół!

Ostro hamuję, wchodzę w zakręt, Słońce świeci mi w kark. Na dole, z ukosa, na gigantycznej wypukłej ścianie oślepiająco białego kłębiastego obłoku powinien być mój cień, ale nie ma go, tylko wielobarwna gloria – jaskrawy tęczowy krąg znany wszystkim pilotom wyprzedził mnie i ześlizgnął się po obłoku w dół. Kamień spadł mi z serca... Odetchnąłem z ulgą – nie ma

cienia, więc nikt nie widział ani mnie, ani „sobowtóra” w postaci trójkąta, kwadratu czy „banalnego” talerza...

W pewnym momencie przemknęła mi myśl (trzeba przyznać, że mimo rozpaczliwych niedogodności technicznych i fizycznych w locie „spadającym”, nie wiedzieć czemu, znacznie lepiej i szybciej pracuje wyobraźnia): przecież może wyjść na to, że spośród pięciu miliardów ludzi nie ja jeden zmajstrowałem podobny wynalazek i że od dawna są wytwarzane i testowane aparaty latające oparte na tej samej zasadzie, zarówno te wytworzone w fabrycznych biurach konstrukcyjnych, jak i podobne do mojej samoróbki. Jednak wszystkie ekranujące platformy mają jedną i tę samą własność – niekiedy stają się widzialne dla innych ludzi w bardzo różnej postaci. „Transformują się” także piloci, którzy raz są widziani jako „humanoidzi” w srebrzystych kombinezonach, a raz jako zieloni osobnicy drobnego wzrostu, a innym razem jako płaskie jakby wycięte z kartonu postacie (Woroneż, 1989) albo jeszcze inaczej. Otóż, może się okazać, że to nie są żadni przybyli z obcych planet ufonauci, lecz „tymczasowo optycznie zdeformowani” dla postronnych obserwatorów całkowicie ziemscy piloci i konstruktorzy takich platforemek...

Rady dla tych, którzy badając owady natkną się na to samo zjawisko i zaczną budować i testować „grawitoplan” (jestem przekonany, że pomijając owady nie uda się zrealizować tego wynalazku): latać tylko w letnie pogodne dni, unikać pracy w czasie burzy i deszczu, nie wznosić się zbyt wysoko i daleko, z punktu lądowania nie zabierać ze sobą ani źdźbełka trawy, wszystkie podzespoły muszą być maksymalnie wytrzymałe, podczas eksperymentów i pracy unikać bliskości jakichkolwiek linii przesyłowych wysokiego napięcia, osiedli (zwłaszcza miast), środków transportu i skupisk ludzi. Najlepsza do tego celu jest odległa polana, położona jak najdalej od ludzkich siedzib, inaczej w promieniu kilkudziesięciu metrów może dojść, co często się zdarza, do tego, co nazwano poltergeistem – „nie wyjaśnionych” przemieszczeń przedmiotów domowego

użytku, włączenia lub wyłączenia sprzętu elektrotechnicznego i elektronicznego, a nawet wzniesienia pożaru. Nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz wygląda na to, że to wszystko jest skutkiem zmiany biegu czasu – rzeczy nadzwyczaj subtelnej i zdradliwej.

Ani jeden detal, cząsteczka, nawet najdrobniejsza, nie może być rzucona lub upuszczona podczas lotu lub na miejscu lądowania. Przypomnijmy „Dalnegorski fenomen” z 29 stycznia 1986 roku, prawdopodobnie tragiczny dla eksperymentatorów, kiedy to cały aparat został rozerwany i rozrzucony na ogromnym terenie, a z mikroporowatych filtrów grawitacyjnych pozostały jedynie szczątki „siateczek” nie poddające się, jak nietrudno się domyślić, rozumnej analizie chemicznej.

Już wcześniej wspomniałem, że owady zabrane „tam” i sprowadzone „tutaj” w probówkach znikają, a w probówce, jeżeli ocalała, tworzył się otwór?

Okazało się, że te otworki są bardzo podobne do dziurek w szybach, które niespodziewanie, ni z tego, ni z owego, powstają w pomieszczeniach mieszkalnych i służbowych, czasami „serią” składającą się z szeregu otworów w oknach kilku pokoi i pięter. Z zewnątrz dziurka ma średnicę 3–5 milimetrów i wewnątrz budynku rozszerza się w stożek, który w zależności od grubości szkła ma na „wyjściu” 6–15 milimetrów. Niektóre dziurki mają stopione obrzeża lub są zabarwione na brązowo – dokładnie tak samo, jak było to w przypadku transportu mojego gąsienicznika w probówce. Wygląda na to, że ten rodzaj poltergeista – dziurki w szybach – wywołany jest nie przez krótkotrwałe niewidzialne mikroplazmoidy typu miniaturowych piorunów kulistych, jak wcześniej zakładałem, a właśnie przez cząsteczki i drobinki upuszczone przez nieostrożność podczas eksperymentów lub lotów aparatów podobnych do mojego. Dokumentują to zdjęcia dziurek w szybach przedstawione poniżej, które wykonano w centrum naukowym miasteczka WASCHNIŁ pod Nowosybirskiem. Mogę je pokazać każdemu chętnemu. Pojawiły się w latach 1975–1990, lecz żadna z nich nie ma związku z moimi doświadczeniami oraz lotami, z wyjątkiem ostatniej.

„Nie znajdujące wyjaśnienia” otwory w szybach naszego miasteczka akademickiego. Będę wdzięczny Czytelnikom za dokładne informacje o podobnych anomaliiach.

Część opisów UFO, o czym jestem przekonany, dotyczy platform, blok-paneli i innych dużych detali aparatów celowo lub przypadkowo wyrzuconych poza granice aktywnego pola przez konstruktorów i wytwórców – te szczątki mogą wyrządzić innym niemało nieszczęść, a w najlepszym razie zrodzić serię niewiarygodnych opowieści, absurdałnych doniesień w gazetach i czasopismach, nierzadko przyprawionych „naukowymi” komentarzami...

Dlaczego nie ujawniam teraz istoty swojego odkrycia? Po pierwsze, dlatego, że aby znaleźć dowody, trzeba mieć czas i siły. Nie mam ani jednego, ani drugiego. Wiem to z gorzkiego doświadczenia „przepychania” moich poprzednich odkryć, zwłaszcza najbardziej oczywistego zjawiska – efektu porowatych struktur, co do realności którego czytelnicy już się przekonali. A oto, czym zakończyły się moje wieloletnie starania o naukowe uznanie EPS: „W sprawie zgłoszenia tego odkrycia dalsza korespondencja z panem jest bezcelowa”. Ten i ów z Wielkorządców Losów Nauki jest mi znany osobiście i jestem przekonany, że przyjęty u takiego na audiencji, co zresztą teraz jest praktycznie mało prawdopodobne, rozłożę swoją „walizeczkę”, przykręcę stojak, obrócę pokrętło i wzlecę na jego oczach do sufitu... Gospodarz gabinetu, jak sądzę, nie zareaguje i pewnie każe wyprowadzić żartownisia za drzwi.

Młodzi, czym prędzej przychodźcie na miejsce „wielkorządców”!

Druga przyczyna „nieujawnienia” mojej tajemnicy jest bardziej obiektywna. Te antygrawitacyjne struktury odkryłem tylko u jednego gatunku syberyjskich owadów. Nie wymieniam nawet rzędu, do którego należy ten owad, ponieważ może być on na granicy wymarcia, zaś ówczesna eksplozja jego liczebności była tylko lokalną, jedną z ostatnich. Jeśli więc wskażę rodzaj i gatunek, jaką mam gwarancję, że orientujący się co nieco w biologii nieuczciwi ludzie, cwaniacy, wszelkiej maści

kombinatorzy nie rzuca się na zagajniki, wąwozy, łąki, aby wyłapać być może ostatnie egzemplarze tego Cudu Przyrody, w czym nie powstrzyma ich nic, nawet gdyby przyszło im wykarczować dziesiątki zagajników, przeorać setki polan, bowiem zbyt wielka jest pokusa zdobyczy?

Jeszcze czego! Tylko nie to, nieuczciwi ludzie – niech dla was wszystko, co opowiedziałem w tym rozdziale i w dodatku, pozostanie fantazją. Przyroda sama wam tej zagadki nie zdradzi – jak powiadają, trzeba zjeść beczkę soli. Wyrwanie sekretu siłą nie uda się, a gwarancją tego jest póki co kilka milionów gatunków owadów żyjących na Ziemi. Przeznaczcie chociażby godzinę czasu na zbadanie pod względem morfologicznym każdego z nich, a teraz spróbujcie określić stopień prawdopodobieństwa odkrycia Niezwykłego. Ze swej strony mogę wam życzyć sumienności oraz długiego życia, albowiem nawet nie licząc dni świątecznych przy ośmiogodzinnym dniu pracy na sprawdzenie trzech milionów gatunków będziecie potrzebowali tysiąca lat z zachowaniem wyśmienitego wzroku i pamięci, czego mogę wam tylko pozazdrościć.

Mam nadzieję, że zrozumieją i wybaczą mi ci, którzy chcieliby natychmiast zapoznać się z tym Wynalazkiem ze zwykłej ciekawości i bezinteresownie. Czy mogę teraz postąpić inaczej dla ocalenia Żywej Przyrody? Tym bardziej że wygląda na to, iż coś takiego wynaleźli już inni i jakoś nie pojawiają się ze swoimi wynalazkami w gabinetach biurokratów. Wolą szybować po nocnym niebie pod postacią dziwnych dysków, trójkątów lub kwadratów, połyskując i migocząc światłami i wprowadzając w zdumienie przechodniów...

Szybko spadam, a ściślej zwałam się w dół, orientuję się, rozglądam, czy kogoś w pobliżu nie ma. Jakies czterdzieści metrów od ziemi ostro hamuję i bez szczególnych przeszkód ląduję tam, gdzie zwykle – na maleńkiej polance w Wielkim Lesie Rezerwatu. Znajdziecie ją na schematycznej mapie, a później, jeśli tam będziecie, również w terenie. I nie potępiajcie mnie za to, że gałęzie niektórych osik są tam

jakby przycięte lub „uderzone piorunem”. Ściśle pionowy start i lądowanie są bardzo utrudnione, więc początkowa trajektoria jest przeważnie zakrzywiona, szczególnie przy starcie, kiedy platformę, nie wiedzieć czemu, znosi w stronę przeciwną do Słońca, a niekiedy też na odwrót...

Poluzowawszy nakrętki-motyłki na stojaku sterowania, skracam go jak teleskopową antenę przenośnego odbiornika, wyciągam z platformy, którą składam na przegubach na pół. Teraz wygląda to prawie jak „walizeczka” malarza – skrzynka na farby, tylko nieco grubsza. Kładę „walizeczkę” do plecaka, trochę jedzenia i jeszcze jakieś narzędzie do naprawy ogrodzenia i pomiędzy osikami i niewysokimi krzewami dzikiej róży przedzieram się na Środkową Polanę.

Jeszcze przed wyjściem z lasu, niczym dobra wróżba, wita mnie cała rodzina ognistoczerwonych muchomorów, która ustawiła się na leśnej ściółce szerokim kręgiem lub – jak ongiś nazywano go wśród ludu – kręgiem „czarownic”. Dlaczego czarownic? A w ogóle, dlaczego ten najpiękniejszy grzyb syberyjskich lasów musi być łamany, kopany, deptany? Nie raz pytałem grzybiarzy, po co to robią? Ależ on jest niejadalny! – brzmiała odpowiedź. Ale przecież niejadalna jest także darń, glina, sęki, pnie, kamienie... Gdyby w lesie leżały zamiast muchomorów, powiedzmy kawałki cegły, nikt by ich nie kopnął. Kopią niejadalne grzyby, wygląda, że tylko za to, że są żywe, kopią po to, by zabić! Więc cóż to takiego? Czyżby ludzie w ogóle mieli coś takiego we krwi? Kopnąć grzyb, zgnieść żuka, zranić lub zastrzelić ptaka, zająca, bizona? Czy nie od tego zaczyna się chamstwo, sadyzm, pogromy, wojny? Tak bardzo nie chciałoby się w to wierzyć, ale powiedzmy, że stawiam się na miejscu przybysza z obcej planety. Oto przylatuję tak samo na Ziemię do ludzi, widzę jak kopią grzyby, gniotą owady, strzelają do ptaków i do siebie nawzajem. Natychmiast zawracam swój gwiazdolot i odlatuję z zamiarem złożenia tu następnej wizyty nie wcześniej jak za pięćset ziemskich lat...

A jak postąpiłby Czytelnik na miejscu przybysza z innej

planety?

Dobrze, że choć ta rodzinka muchomorów, żyjąca z dala od niedobrych oczu i bezlitosnych nóg, każdego lata raduje mnie swoim szczególnym życiem, swoimi cynobrowoczerwonymi kapeluszami o wielkich białych łuskach.

Lecz otóż i Polana. Idę na nią, na ten nietknięty skrawek Ziemi, jak zawsze, z zamarłym sercem – to z wiecznej tęsknoty do ukochanej, lecz dalekiej od Nowosybirskaja isilkułskiej Przyrody. Z obawy, że jakiś „gospodarz” weźmie ją i zaorze; z radości, że dotąd jest nie orana, nie koszona, nie deptana...

I nie ma żadnego znaczenia, że w plecaku mam zamaskowaną jako walizeczkę, złożoną na pół, czyli zneutralizowaną, platformkę z grawitacyjnymi blok-filtrami z drobnej siateczki, a pomiędzy nimi, również składany, stojak z regulatorami pola i paskiem, którym przywiązuję się do stojaka. No, założmy, że wyskoczyłem z tym wynalazkiem jakieś pięćdziesiąt lat do przodu – jaka to różnica? Ludzie i tak posiadają tę i wiele innych tajemnic Materii, Przestrzeni, Grawitacji, Czasu. Ale żadna supercywilizacja na żadnej z planet Supergalaktyki nie odtworzy tej Polany z jej skomplikowanym, kruchym, tętniącym Życiem, z jej przytuliami, tawułami i piołunami, z jej pomarańczowo-pstrokatymi przeplatkami (Melitaea) i niespiesznymi kraśnikami (Zygaena) o trudnym do opisania odświeżającym ubarwieniu na granatowym mieniącym się tle – wzór z pąsowoczerwonych plamek... Gdzie, w jakim zakątku Wszechświata, znajdzie się podobny do tego liliowobłękitny dzwoneczek, w którego półprzezroczystej tajemniczej głębi wykonują swój miłosny taniec dwie muszki-nasionnice Trypetidae, poruszając ażurowymi skrzydełkami w wytworne czarno-białe paski?

Na jakiej innej planecie prosto na wyciągniętą dłoń przyleci prawie oswojony motyl modraszek-lazurek, by liznąć swoim spiralnym ryjkiem jakiegoś posolonego gościńca – słoniny, kiełbaski, sera. Bardzo lubią jeść to co słone! A jeśli nie, to pochodzą po ręce, otwierając i zamykając swoje atlasowo-

szare z turkusowym odcieniem skrzydełka, na spodniej stronie których jest najsubtelniejszy pod względem koloru ornament, złożony z okrągłych plamek-oczek?

...Nie tak dawno my, ludzie, zaczęliśmy latać – z początku na balonach, potem na samolotach. Dziś potężne rakiety unoszą już nas do innych ciał niebieskich... A jutro? A jutro polecimy do innych gwiazd prawie z prędkością światła, jednakże nawet sąsiednia galaktyka, mgławica Andromedy, będzie jeszcze nieosiągalna. Ale Ludzkość – pod warunkiem że zasłuży na miano Rozumnej – odkryje wiele zagadek Wszechświata i przekroczy również tę granicę. Wówczas staną się prawie w mgnieniu oka osiągalne dowolne światy położone w zakątkach Wszechświata oddalonych od Ziemi o tryliony lat świetlnych.

Wszystko to będzie, albowiem to wszystko jest sprawą Rozumu, Nauki i Techniki. I niczego więcej.

Tylko ta Polanka może się nie ostać, jeśli nie zdołam – a więcej nie ma na kim polegać – zachować jej dla bliskich i dalekich potomków z jej przeplatkami, kraśnikami i modraszками, z jej złotymi żukami, nasionnicami, z jej dzwoneczkami, przytuliami i tawułami.

A zatem co jest dla Ludzkości cenniejsze w tym momencie – kącik owadów pod ochroną, czy też aparat-samoróbka tkwiący w plecaku, rozwijający pionowy ciąg nieco poniżej 100 kG i prędkość poziomą najwyżej 30–40 kilometrów na minutę? To do ciebie zwracam się, Czytelniku. Tylko dobrze się zastanów, zanim dasz rozsądną i poważną odpowiedź.

Popatrzcie na te zdjęcia. Taka to niewyszukana rzecz w stanie roboczym i przygotowana do pracy. Giętka linka wewnątrz rączki kierownicy przekazuje ruch od lewej rękojeści na grawitacyjne żaluzje. Zsuwając i rozsuwając te „pokrywy skrzydeł” wykonuję wzlot lub lądowanie. Pewnego razu podczas szybkiego schodzenia w dół, w wariancie swobodnego spadania, lewa rękojeść... odpadła, i być może znalazłbym się „w lepszym świecie”, lecz

ja nie tylko że się nie rozbiłem, ale nawet nie poczułem uderzenia, tylko zamroczenie – platformka wyryła w ornym polu – dobrze że nie na drodze! – dosyć głęboką studnię, u góry pionową, a dalej skierowaną w stronę przeciwną do Słońca. Z tej studni-dziwa nie bez trudu wywlokłem siebie i swój aparat, rzecz jasna poważnie uszkodzony. Jednak najwięcej kłopotów sprawiła „studnia” – nie miała obwałowania! Trzeba było wykazać się nie lada pomysłowością, aby pospiesznie ją zamaskować. Widziana z drogi mogłaby wywołać niemało domysłów, a może nawet naprowadzić na „winowajcę” jakichś nadgorliwych tropicieli...

Podobne jamy – też bez obwałowań i w głębi odchodzące w bok – utworzyły się nieoczekiwanie 24 października 1989 roku na polach Chworostiańskiego Rejonu w Obwodzie Kujbyszewskim. Pisała o tym Komsomolska Prawda 6 grudnia tego samego roku. Zatem wychodzi na to, że nie jestem sam.

I bardzo prawdopodobne, że „wynałazłem rower”... No cóż, górna część mojego aparatu jest w rzeczy samej „rowerowa” – prawa rękojeść do ruchu horyzontalno-postępowego, co osiąga się poprzez ogólne nachylenie obydwu grup „pokryw skrzydeł”-żałuzji, również za pomocą linki. Rozwijać prędkości ponad 25 kilometrów na minutę nie ośmielałem się, wolę lecieć z dziesięć razy wolniej.

...Nie wiem, czy przekonałem cię, Czytelniku, że coś podobnego w bardzo niedługim czasie będzie dostępne praktycznie wszystkim, natomiast Żywa Przyroda, bez której ludzkość żyć nie może, nie będzie dostępna nikomu z powodu jej całkowitego wyniszczenia?

Ale nie chciałbym wyjść wobec Czytelników na kompletnego skąpca. Dlatego ofiarowuję badaczom inny Patent Przyrody, także związany z Ruchem i Grawitacją. Fizycy twierdzą, że stworzenie bezoporowego pędnika jest niemożliwe. Innymi słowy, aparat całkowicie odizolowany od otoczenia, nie polecą i nie pojedzie – ani samochód bez zewnętrznych kół, ani samolot ze śmigłem i silnikiem „w osłonie”, ani rakietą z „zatkanymi”

dyszami.

Wyjątek stanowi jedynie baron Münchhausen, który pewnego razu wpadł na pomysł, by wyciągnąć siebie samego z bagna za włosy...

Rzecz wydarzyła się w roku 1981 pod Nowosybirskiem, kiedy badaliśmy entomofaunę lucerny – zapylające ją owady i szkodniki. Idąc po polu, energicznymi ruchami „omiatałem” siatką na owady lucernę, a następnie wrzucałem jej zawartość – owady, liście, kwiaty strącone obręczą – do ciemnego pudełka, do którego przystawiałem słoik do zatruwania owadów. Taki okrutny jest sposób badania składu gatunkowego owadów na polach i jak dotąd nie wymyślono innego. Niestety, taka była moja praca, za którą otrzymywałem pensję w Instytucie Gleboznawstwa i Chemizacji Rolnictwa.

Właśnie chciałem zatrzęsnąć pokrywkę słoika i wrzucić tam watę nasączoną eterem, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, wyskoczył... mały jasny kokon. Był owalny, z wyglądu dosyć spoisty, nie przepuszczający światła. Najwyraźniej któryś z uwięzionych owadów przypadkowo wepchnął go do słoika – przecież kokon nie może sam skakać!

Ale kokon rozwiązał moje wątpliwości. Skoczył jeszcze raz, uderzył o szklaną ściankę i upadł na dno...

Wypadło pożegnać się z płonem połowu – przestraszone owady z wyraźną radością rzuciły się na wolność, ja zaś odizolowałem dziwny kokon i schowałem go do oddzielnej probówki. W domu obejrzałem go w dwuocznym mikroskopie – nic szczególnego, kokon jak kokon, długi na trzy milimetry i szeroki na nieco ponad milimetr. W dotyku jego ścianki były mocne, tak jak powinny być.

Kokon energicznie skakał, gdy oświeślało lub ogrzewało (?) go słońce; w cieniu uspokajał się. Jego skoki sięgały trzydziestu milimetrów długości i, co jeszcze wspanialsze, pięćdziesięciu milimetrów wysokości!

Zauważyłem, że kokon leciał płynnie prawie nie obracając się. Przydałaby się tu superszybka kamera filmowa. Niewątpliwie ruch mechaniczny przekazywała kokonowi od wewnątrz larwa lub poczwarka owada. Ale jak to się działo, nie sposób było zobaczyć.

...Uprzedzając fakty, powiem, że z kokonu wydostał się gąsienicznik z rodziny Ichneumonidae należący do gatunku *Batiplectes anurus*, pożyteczny dlatego, że jego larwy pasożytują na szkodniku lucerny ryjkowcu ziołomirku (*Phytonomus*). „Latający” kokon musiał w końcu wpaść do chłodnej kryjówki – w szczelinę ziemi. Do mojej siatki trafił zapewne w trakcie swojej dziwnej podróży, a mianowicie w momencie skoku.

Wszystko to bardzo przypominało poltergeist – nieraz opisywane w prasie niewytłumaczalne „skoki” przedmiotów codziennego użytku.

Kładłem kokon na szkło i uważnie patrzyłem od dołu – może larwa przed skokiem jakoś wciąga spód kokonu, a potem szybko go wypuszcza? Nic podobnego – żadnych wklęsłości. Kokon sprawnie i wysoko podskakiwał, jakkolwiek bym go nie przetaczał. Jeszcze bardziej niezwykle było to, że z poziomego i śliskiego szkła wzlatywał nie pionowo, lecz z przechyłem! Zmierzyłem trajektorię – odległość wynosiła do 35, a wysokość prawie 50 milimetrów, czyli kokon wzlatywał na wysokość trzydziestokrotnie przewyższającą jego grubość!

A co będzie, jeśli pozbawi się tę „latającą kapsułę” oparcia, jeśli nie będzie na niczym leżała? Ale jak to zrobić? Ano należy położyć ją na warstwie miękkiej waty!

Tak też i zrobiłem. Delikatnie wyskubałem kawałeczek watki, aż wyszedł obłoczek o łagodnych mglistych obrzeżach. Ostrożnie położyłem kokon na „obłoczku”, wystawiłem go na słońce i niecierpliwie czekałem. Wiedziałem, że uderzenie skierowane w dolną ściankę kokonu przez jego mieszkańca, zmuszające ją, by

odskoczyła od punktu oparcia, teraz nie zadziała, że zostanie stłumione przez cieniutkie sprężynujące włókienka bawełny i teoretycznie kokon prawie się nie poruszy.

A jednak nie. Nagle mój kokonik zerwał się z miejsca i żwawo wzleciał z watki, która nawet nie drgnęła, „tak jak należy” – do góry i w bok. Mierzę długość skoku – czterdzieści dwa milimetry, czyli norma. Owad zapewne wykonywał skok lub uderzenie nie w dolną, ale w górną część kokonu. W każdym razie czynił tam coś, co wprowadzało kapsułę w ruch.

Mówiąc szczerze, dopiero teraz jestem zaniepokojony. Wtedy, w osiemdziesiątym pierwszym, niczego nadprzyrodzonego w skokach mojego kokonu nie zauważyłem, ponieważ nie wiedziałem, że zgodnie z fizyką bezoporowe pędniki nie istnieją i istnieć nie mogą. Inaczej rozmnożyłbym setkę lub dwie tych gąsieniczników – na szczęście nie należały do rzadko spotykanych – i wszystko dokładnie bym zbadał.

A teraz puścimy nieco wodze fantazji. Przypuśćmy, że *Batiplectes* zapragnąłby, powiedzmy, całkiem odlecieć z Ziemi. Dorosłemu, skrzydlatemu osobnikowi to by się nie udało z powodu „pułapu” – nasza atmosfera u góry jest rozrzedzona i do latania na skrzydłach się nie nadaje. Co innego larwa w kokonie. Uniósłszy swoją kapsułę w skoku na pięć centymetrów, mogłaby będąc w górnym punkcie unieść ją w ten sam sposób jeszcze wyżej i jeszcze wyżej, a jeśli kokon byłby hermetycznie zamknięty – mam tu na myśli zapas powietrza do oddychania dla pilota – to co przeszkodziłoby wyjść takiemu urządzeniu poza granice atmosfery i kontynuować zwiększanie prędkości?

Otóż nic!

Oto, na czym polega kusząca, niewiarygodna wartość bezoporowych pędników, co do których ogłoszono, że są, niestety, nieziszczalną fantazją.

Także nie-fizykowi trudno wyobrazić sobie, co takiego wyprawia

ta drobniutka larwa, jeśli jej kokon wzlatuje na wysokość pięciu centymetrów?

Coś takiego jest po prostu niemożliwe, a mimo to kokon podskakuje...

Fizycy mówią: „to jest poza granicami nauki”, ponieważ „jest sprzeczne z prawami przyrody”. Sęk w tym, że *Batiplectes anurus* o tym nie wie... Zakazu fizyków nie znali także doświadczeni wybitni biolodzy, którzy umieścili rzetelną informację o tym na 26 stronie akademickiego Klucza do oznaczania owadów europejskiej części ZSRR (tom III, część 3): „Kokon podskakuje w wyniku gwałtownych ruchów larwy wewnątrz niego”.

Jednym słowem, daję właśnie Czytelnikom działający i sprawdzony (!) model niezawodnego bezoporowego pędnika. A więc zakładajcie hodowle gąsieniczników tego gatunku, wynajdujcie, konstruujcie, majsterkujcie i szczęśliwej drogi!

Ale spieszcie się! Szkodnikowi lucerny – ryjkowcowi *Phytonomus* – wypowiedziano powszechną wojnę chemiczną, którą Mądra Ludzkość może wygrać. Oby nie zapłaciła zbyt wysokiej ceny, gdy wraz z wyginięciem żuka *Phytonomus variabilis* fauna naszej planety straci również gąsienicznika *Batiplectes anurus*, który pasożytuje tylko na tym gatunku ryjkowców – bez nich nie może w ogóle żyć.

A co się tyczy propozycji związanych z biologicznymi metodami walki ze szkodnikami syberyjskich pól – z wykorzystaniem takich właśnie gąsieniczników i innych entomofagów – zarządcy krajowego rolnictwa oraz Rosyjskiej Akademii Rolniczej całkowicie je odrzucają. Zmagam się z tym już dwadzieścia lat, a sukcesów mam tyle co Don Kichot walczący z wiatrakami... Ale można zrozumieć również Najwyższe Władze – nie można przecież zatrzymać kosztownych kombinatów chemicznych! A co ich tam, Agrariuszy, może obchodzić jakiś bezoporowy pędnik, z powodu którego nie wolno opryskiwać trucizną lucerny?

Spieszcie się biolodzy, inżynierowie, fizycy, albowiem jeśli zwycięży Chemia, na zawsze opuści ludzi i ta Tajemnica, i oczywiście cały łańcuszek związanych z nią innych Tajemnic. A ludzie sami, bez owadów, tego nie wynajdą.

Proszę mi, entomologowi z 60-letnim polowym stażem, wierzyć.

...Na końcu mojej pierwszej książki „Milion zagadek”, która ukazała się w Nowosybirsku w roku 1968, jest rysunek, do którego ponownie się odwołuję. Oto nad Miasteczkiem Akademickim leci człowiek przy pomocy aparatu, którego podstawę stanowią ogromne owadzie skrzydła. Wtedy marzyłem, fantazjowałem – ot, gdyby tak wynaleźć taki aparat! To marzenie, co może wydać się dziwne, spełniło się, i to właśnie dzięki przyjaźni z owadami, ale nie poprzez ślepe kopiowanie najbardziej zauważalnych podzespołów i detali tychże skrzydeł, co wywołuje teraz na mojej twarzy uśmiech, lecz poprzez wnikliwe badanie żywej Przyrody. Jednak bez moich skrzydlatych sześcionogich przyjaciół nic by mi się nie udało i prawdopodobnie nie uda się innym.

Chrońcie ten Świat, najstarszy i zadziwiający Świat Owadów, nieskończoną i unikalną skarbnicę Tajemnic Wszechświata!

Chrońcie go! Bardzo wszystkich o to proszę.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Wiktor Stiepanowicz Grebiennikow

Tłumaczenie: Waldemar Gajewski

Źródło: [„Nexus” nr 3 \(41\) 2005](#)